

JAMES ROLLINS REBECCA CANTRELL



EWANGELIA KRWI

Przyszłość jest naznaczona zbrodniami przeszłości

Prolog

Wiosna 73 r.
Masada, Izrael

Umarli nie przestawali śpiewać.

Sto metrów nad głową Eleazara chór dziewięciuset żydowskich powstańców śpiewał, rzucając wyzwanie stojącemu u bram rzymskiemu legionowi. Obrońcy twierdzy złożyli uroczystą przysięgę, że odbiorą sobie życie, by nie pójść do niewoli. Ostatnie modlitwy, skierowane na szczycie ku niebiosom, niosły się echem do tuneli wykutych w sercu góry Masada.

Niech skazańcy pozostaną w gorzkim blasku słońca. Eleazar oderwał wzrok od dachu i skierował go na wydrążone w wapiennej skale przejście. Pragnął śpiewać wraz z nimi, oddać życie w ostatnim boju, lecz przeznaczony mu był inny los.

Inna była jego droga.

Objął ramionami rozgrzany słońcem drogocenny blok kamienia. Miał długość noworodka, sięgał od jego dłoni do łokcia. Tuląc go do piersi, Eleazar wcisnął się do topornie wykutego tunelu wcinającego się w serce góry. Zamurowano za nim wejście. Nikt żywy nie mógł podążać jego śladem.

Siedmiu towarzyszących mu żołnierzy parło przed siebie z pochodniami. Myśłami na pewno byli ze swoimi braćmi, z tymi dziewięciuset powstańcami, którzy pozostali na spieczonym słońcem płaskim wierzchołku góry. Forteca broniła się od miesięcy. Dziesięć tysięcy rzymskich legionistów rozłożyło w pobliżu olbrzymie obozy i otoczyło tak szczelnie górę, że mysz by się nie prześliznęła. Powstańcy, ukończywszy śpiewy, złożyli przysięgę, że najpierw odbiorą

życie swoim bliskim, a później sami się zabijają, zanim Rzymianie sforsują mury. Modlili się i przygotowywali na chwilę, w której przyjdzie im odebrać życie niewinnym.

Mnie także jest to pisane.

Brzemień obowiązku ciążyło Eleazarowi nie mniej niż kamień, który dźwigał. Jego myśli wybiegły ku temu, co czekało na niego na dole. Grobowiec. Godzinami modlił się w podziemnej świątyni, przyciskając kolana do kamiennych bloków, dopasowanych tak ściśle, że nie przemknęło między nimi nawet mrówka. Przyglądał się gładkim ścianom i wysokiemu łukowemu sklepieniu. Podziwiał zęczność rzemieślników, którzy swoim wysiłkiem stworzyli ten święty przybytek.

Nawet wówczas nie ośmielił się spojrzeć na sarkofag spoczywający w świątyni.

Na nieświętą kryptę, w której spocznie święte słowo Boga.

Mocniej przycisnął kamień do piersi.

Boże, błagam, uwolnij mnie od tego brzemienia.

Modlitwa, podobnie jak tysiące innych, pozostała bez odpowiedzi. Poświęcenie buntowników musi być uszanowane. Ich życiodajna krew, na którą spadnie klątwa, musi posłużyć wyższemu celowi.

Dotarł do łukowatej bramy świątyni i nie zdołał przekroczyć progu. Jego towarzysze przepchnęli się obok i zajęli posterunki. Eleazar oparł czoło o zimną ścianę, modląc się o pociechę.

Czekał nadaremnie.

Omiótł wzrokiem wnętrze. Drgające płomienie pochodni rzucały cienie na kamienne cegły, które tworzyły łuki sklepienia. Dym wił się, szukając drogi ucieczki i jej nie znajdując.

Nikt nie zdoła uciec.

Jego oczy spoczęły na postaci klęczącej dziewczynki, którą trzymali żołnierze. Serce ścisnęło mu się z żalu, lecz nie porzuci powierzonego mu zadania. Miał nadzieję, że dziewczynka zamknie oczy, aby nie musiał w nie patrzeć.

Oczy jak woda...

Tak opisała je jego od dawna nieżyjąca siostra. Oczy swojej córki, małej Azuby.

Eleazar spoglądał w oczy siostrzenicy.

Były to oczy dziecka, lecz nie dziecko na niego patrzyło.

Dziewczynka zobaczyła rzeczy, których dziecko nie powinno oglądać. Za chwilę przestanie widzieć cokolwiek.

Wybacz mi, Azubo.

Wypowiadając cicho ostatnią modlitwę, wszedł do oświetlonego pochodniami grobowca. Skaczące płomienie odbijały się w oczach siedmiu czekających żołnierzy. Wiele dni walczyli z Rzymianami; wiedzieli, że w końcu zginą, lecz nie mieli pojęcia, że tak będzie wyglądała ich śmierć. Skinął głową im i mężczyźnie w płaszczu, który stał pośród nich. Dziewięciu dorosłych mężczyzn przygotowywało się do złożenia ofiary z dziecka.

Skinęli Eleazarowi głowami jak świątobliwemu mężowi. On zaś uważał się za do cna nieczystego. Wiedzieli o tym jedynie on oraz ten, któremu służył.

Wszyscy mężczyźni mieli na ciałach krwawe rany; niektóre zadali im Rzymianie, a inne dziewczynka, którą trzymali.

Siłą włożyli jej purpurową szatę, która była za duża i sprawiała, że ofiara wyglądała na jeszcze drobniejszą. W umorusanych rączkach trzymała jasnobrązową podartą laleczkę uszytą ze skóry — przypominającą kolorem judejską pustynię. Lalka nie miała jednego oka.

Ile to lat minęło od dnia, w którym podarował Azubie tę zabawkę? Pamiętał radość na małej buzi, kiedy uklęknął i podał siostrzenicy lalkę. Zdumiał się, że tyle blasku może się zmieścić w małym ciałku, że może rozbłysnąć tak jasno. Wystarczył prosty podarek, lalka ze szmatek i skóry.

Teraz patrzył i szukał tego samego światła.

Jednak zobaczył tylko ziejącą ciemność.

Syknęła, wyszczerzając zęby.

— Azubo — powiedział błagalnie.

Z oczu, niegdyś pięknych i spokojnych jak oczy młodej sarenki, wyzierała straszliwa nienawiść. Dziewczynka zaczerpnęła powietrza i splunęła mu w twarz gorącą krwią.

Zachwiał się. Krew miała miękkość jedwabiu i zapach żelaza. Drżącą ręką otarł twarz. Uklęknął i chustką delikatnie startł krew z jej brody, a potem odrzucił szmatkę.

Nagle usłyszał dźwięk.

Ona także go usłyszała.

Oboje zadarli głowy. Tylko oni spośród obecnych w grobowcu wyłowili słuchem krzyki dochodzące z wierzchołka góry. Tylko oni wiedzieli, że Rzymianie sforsowali mury twierdzy.

Rozpoczęła się rzeź.

Mężczyzna w płaszczu dostrzegł ruch ich głów i zrozumiał jego wymowę.

— Już czas.

Eleazar spojrział na sędziwego przywódcę w zakurzonej brązowej szacie, który zażądał, by dziecko zostało ochrzczone w tym strasliwym czasie zamętu i zbrodni. Jego okoloną brodą twarz znaczyły zmarszczki. Oczy były zamknięte, nieprzeniknione. Usta poruszały się w niemej modlitwie. Twarz płonęła pewnością człowieka wolnego od cienia wątpliwości.

W końcu oczy mężczyzny otworzyły się i poszukały twarzy Eleazara, jak gdyby chciały dojrzeć w niej duszę. Wzrok starca przywiódł mu na pamięć spojrzenie innego mężczyzny sprzed wielu, wielu lat.

Zawstydzony Eleazar odwrócił głowę.

Żołnierze zebrali się wokół otwartego kamiennego sarkofagu stojącego pośrodku grobowca. Wykuto go z jednego bloku piaskowca; był tak duży, że zmieściłoby się w nim trzech dorosłych mężczyzn.

Miał jednak stać się więzieniem jednej małej dziewczynki.

Obok narożników sarkofagu paliły się stosiki mirry i kadzidła. Wśród ich woni Eleazar wyczuł inny, ostrzejszy zapach soli i kwaśnych ziół, które zebrano zgodnie ze wskazówkami zawartymi w starożytnym tekście esseńczyków.

Wszystko czekało przygotowane i tchnęło grozą.

Eleazar jeszcze raz skłonił głowę, modląc się, by znalazł się inny sposób.

Weźcie mnie, nie ją.

Jednak obrzęd nakazywał każdemu odegrać swoją rolę.

Dziewczynka Odarta z Niewinności.

Rycerz Chrystusa.

Mąż Wojownik.

Człowiek w rytualnej szacie przemówił. Jego szorstki głos nawet nie zadrżał.

— To musi się dokonać z woli Boga, aby ocalić jej duszę i dusze innych. Brać ją!

Jednak nie wszyscy przybyli w to miejsce z własnej woli.

Azuba wyrwała się z rąk oprawców i skoczyła do drzwi zęcnie niczym sarna.

Tylko Eleazar okazał się wystarczająco szybki, żeby ją pochwycić. Zaciśnął dłoń na chudym nadgarstku. Szarpała się, ale był silniejszy. Pozostali mężczyźni ich otoczyli. Przycisnęła lalkę do piersi i opadła na kolana. Wyglądała żałośnie.

Przywódca skinął na najbliższego żołnierza.

— To musi się dokonać.

Żołnierz podszedł i złapał Azubę za rękę. Wyrwał jej lalkę i odrzucił na bok.

— Nie! — krzyknęła dziewczynka. To było pierwsze słowo, które wydobyło się z jej wychudłego gardła. Zabrzmiała w nim rozpacz porzuconego dziecka.

Ponownie wyrwała się oprawcom i z wściekłą siłą rzuciła naprzód. Skoczyła na żołnierza i oplótła go nogami. Wbiła mu w twarz zęby i paznokcie, powalając go na posadzkę.

Dwaj towarzysze pospieszyli mu z pomocą. Odciągnęli rozszalałą dziewczynkę i przygwoździli do ziemi.

— Zabrać ją do grobowca! — rozkazał dowódca.

Żołnierze zawahali się i stanęli, najwyraźniej sparaliżowani lękiem. Mała wciąż się rzucała.

Eleazar zauważył, że strach Azuby nie ma związku z żołnierzami. Wzrok dziewczynki spoczywał na lalce, którą wyrwano jej z rąk.

Podniósł poszarpaną zabawkę i podsunął Azubie. Kiedy była młodsza, lalka niejednokrotnie koła jej niepokój. Usilnie starał się wyrzucić z pamięci wspomnienia Azuby bawiącej się nią w słońcu razem z roześmianymi siostrzyczkami. Zabawka zadrzęła w jego dłoni.

Oczy dziewczynki złagodniały, pojawiła się w nich błagalna prośba. Przestała się szarpać. Uwolniła rękę z uścisku żołnierza i wyciągnęła ją po lalkę.

Kiedy dotknęła zabawki, jej ciało zwiotczało. Pogodziła się z losem, zrozumiała, że ucieczka jest niemożliwa. Jedynej pociechy szukała u lalki, tak samo jak wtedy, gdy była małym, niewinnym dzieckiem. Nie chciała samotnie pozostać w ciemności. Uniosła lalkę do twarzy i przycisnęła jej maleńki nos do swojego noska. Przywodziła na myśl obraz dziecięcego ukojenia.

Eleazar ruchem dłoni odprawił żołnierzy i wziął w ramiona spokojną już siostrzenicę. Przygarnął jej chłodne ciało do piersi, a ona wtuliła się w niego tak jak dawniej. Pomodlił się o siłę do spełnienia swojej powinności.

Kamień, który zaciskał w wolnej ręce, przypominał mu o złożonej przysiędze.

Dowódca rozpoczął odmawiać modlitwę, która miała uświęcić ofiarę. Wypowiadał starożytne formuły i święte słowa, rzucał szczypty kadzidła na płonące stosiki. Na wierzchołku góry powstańcy odbierali sobie życie, Rzymianie forsowali bramy.

Ofiara z krwi tu, na dole, wyrówna tragiczny rachunek.

Ściskając kamień w dłoni, Eleazar poniosł dziewczynkę ku otwartemu sarkofagowi wypełnionemu już prawie po brzegi; płyn połyskiwał i chlupotał. Miał posłużyć do mikwy, rytualnej kąpieli oczyszczającej.

Sarkofagu nie napełniono jednak poświęconą wodą, lecz winem.

Na posadzce walały się puste gliniane dzbany.

Eleazar podszedł do krypty i spojrzał do środka. W blasku pochodni wino wyglądało jak krew.

Azuba wtuliła twarz w jego pierś. Mężczyzna przełknął gorzką ślinę.

— Zaczynaj! — rozkazał dowódca.

Eleazar po raz ostatni przytulił drobne ciało do piersi. Z gardła dziewczynki wydobył się pojedynczy szloch. Eleazar zerknął w ciemny korytarz. Wciąż mógł uratować ciało Azuby, lecz za cenę ściągnięcia klątwy na jej i swoją duszę. Straszliwy czyn, którego miał dokonać, był jedynym sposobem jej prawdziwego ocalenia.

Najwyższy stopniem żołnierz wziął dziewczynkę z rąk Eleazara i uniósł ją nad otwartym grobowcem. Opuścił ją nad powierzchnię wina, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Ręce żołnierza znieruchomiały. Azuba poszukała wzrokiem Eleazara. Ten wyciągnął rękę w jej stronę, lecz zaraz ją cofnął.

— Błogosławiony Pan, który jest w niebie — zaintonował dowódca.

Śpiewy, które dopływały ze skalistego szczytu, ustały. Azuba przechyliła głowę, jakby ona także to zauważyła. Eleazar wyobraził sobie krew wsiąkającą w piasek i spływającą do wnętrza góry. To już nieuchronne. Śmierć tamtych stanowiła ostatni sygnał, że grobowiec musi zostać zamknięty.

— Już czas, Eleazarze — ponaglił dowódca.

Eleazar wyciągnął przed siebie cenny kamień; zamknięta w nim święta tajemnica stanowiła jedyną siłę, która mogła pchnąć go do czynu. Niesiony ciężar był niczym w jego rękach. To serce sprawiało, że nie mógł złapać tchu.

— To musi się dokonać — przypomniał cichym głosem dowódca.

Eleazar nie zdołał wykrztusić słowa. Zbliżył się do dziewczynki.

Dowódca wypuścił ją z rąk i wpadła do winnej kąpieli. Szamotała się, jej drobne palce szukały oparcia na kamiennych ścianach grobowca. Czerwona ciecz przelała się przez krawędzie i chlupnęła na posadzkę. Azuba patrzyła na niego błagalnie, gdy położył kamień na jej szczupłej piersi i pchnął. Ciężar kamienia i siła rąk Eleazara wepchnęły dziecko głęboko pod powierzchnię.

Już się nie broniła, przyciskała tylko lalkę do piersi. Leżała tak spokojnie, jakby już nie żyła. Nieme usta poruszyły się, twarz odpłynęła w dal.

Jak brzmiały jej ostatnie słowa?

Eleazar wiedział, że to pytanie będzie go dręczyło do końca dni.

— Wybacz mi — wykrztusił. — I wybacz jej.

Wino przesiąkało rękawy jego tuniki, szczypiąc go w skórę. Trzymał nieruchome ciało, a dowódca odmawiał modlitwy.

Trwały długo jak wieczność.

Wreszcie puścił ciało dziewczynki i wstał. Azuba tkwiła na dnie przygnieciona świętym kamieniem, i tak pozostanie na wieki; będzie jego przeklętym strażnikiem. Modlił się, aby jego czyn oczyścił jej duszę, stał się wiekuistą pokutą za grzech, który w sobie nosiła.

Moja mała Azuba...

Osunął się obok ściany sarkofagu.

— Zamknąć grobowiec! — rozkazał dowódca.

Opuszczono na linach płytę z piaskowca i umieszczono ją na miejscu. Żołnierze zacementowali szczelinę mieszaniną popiołu i wapna.

Eleazar przyciskał dłonie do ścian śmiertelnego więzienia, jakby jego dotyk mógł przynieść ukojenie Azubie. Ona jednak była już tam, gdzie nie sięgało żadne ukojenie.

Oparł czoło o bezlitosny kamień. To był jedyny sposób. Została poświęcona dla wyższego dobra. Jednak prawda ta nie łagodziła jego

ani jej bólu.

— Chodź! — rzekł dowódca, kiwając ręką. — Spełniliśmy to, co było konieczne.

Eleazar wciągnął do płuc cuchnące powietrze. Żołnierze zakrztusili się i podążyli do wyjścia. Został sam w wilgotnym grobowcu.

— Nie wolno ci tu pozostać! — zawołał dowódca. — Wyznaczono ci inną drogę.

Eleazar zatoczył się w jego kierunku, oślepiiony łzami.

Kiedy opuszczą grobowiec, przejście zostanie zamurowane. Nikt spośród żywych nie będzie o nim pamiętał. Ci zaś, którzy odważą się przez nie przejść, ściągną na siebie klątwę.

Dowódca patrzył na niego.

— Czy żałujesz przysięgi, którą złożyłeś? — spytał. W jego głosie zabrzmiała litość, ale było w nim także niezłomne postanowienie.

Właśnie ono sprawiło, że Chrystus nadał mu imię Petrus, oznaczające „skałę”. Był apostołem, na którym zbudowany zostanie nowy Kościół.

Eleazar wytrzymał jego spojrzenie twarde jak kamień.

— Nie, Piotrze, nie żałuję.

1

26 października, 10.33 czasu izraelskiego
Izrael, Cezarea

Doktor Erin Granger musnęła powierzchnię starożytniej czaszki najdelikatniejszym pędzelkiem. Kiedy pył opadł, spojrzała wzrokiem naukowca na cieniutkie kreski połączeń czaszki oraz szczelinę ciemniaczka. Oceniała liczbę zgrubień i stwierdziła, że była to czaszka noworodka. Ułożenie kości łonowej wskazywało na chłopczyka.

W chwili śmierci miał zaledwie kilka dni.

Wydobywając dziecko z ziemi i kamieni, patrzyła także oczami kobiety; wyobraziła sobie malca leżącego na boku z kolanami podciągniętymi do piersi i malutkimi rączkami wciąż zaciśniętymi w pięstki. Czy rodzice liczyli uderzenia jego serca, czy całowali niewyobrażalnie delikatną skórę, czy byli przy tym, jak cichutkie bicie serca ustało?

Doktor Erin pamiętała śmierć maleńkiej siostrzyczki.

Zamknęła oczy, pędzelek znieruchomiał w jej dłoni.

Przestań wreszcie.

Otworzywszy oczy, odgarnęła do tyłu niesforny kosmyk blond włosów zaczesanych w schludną kitkę, a potem wróciła do przerwanej czynności. Dowie się, co zaszło tutaj przed wiekami. To dziecko, tak samo jak jej mała siostrzyczka, nie zginęło przypadkowo. Różnica polegała jedynie na tym, że chłopiec padł ofiarą przemocy, nie zaś zaniedbania.

Pracowała dalej, zwracając uwagę na układ kończyn. Ktoś postarał się, aby ułożyć ciało we właściwej pozycji, i dopiero potem je pochował. Nie mógł jednak zamaskować popękanych i brakujących

kości, które świadczyły o popełnionej zbrodni. Jej śladów nie zdołały zatrzeć nawet dwa tysiące lat.

Doktor Erin odłożyła drewniany pędzelek i ujęła w dłoń następne zdjęcie. Nieubłagany czas pokrył kości taką samą jasną sepią, jaką pokrywa je ziemia, lecz dzięki starannie przeprowadzonym wykopaliskom udało się odsłonić kształt. Mimo to upłynęła godzina, nim uda się uwolnić z piasku resztę kości.

Zabolało ją kolano, więc uklękła na drugim. Miała trzydzieści dwa lata i trudno było uznać ją za starą, lecz w tej chwili taka się czuła. Przebywała w wykopie zaledwie od godziny, a nogi już dawały o sobie znać. Jako dziecko klęczała godzinami podczas modlitwy na twardym klepisku stanowiącym posadzkę kościoła. Wtedy potrafiła tak przeżyć bez skargi pół dnia, jeśli tego wymagał ojciec; jednak przez wiele lat starała się zapomnieć o przeszłości, więc pamięć mogła ją teraz zawodzić.

Skrzywiła się i wstała, żeby się przeciągnąć; wysunęła głowę z głębokiego do pasa wykopu. Chłodna morska bryza pieszczotliwie owiała jej twarz, odpędzając złe wspomnienia. Ten sam wiatr poruszał kłapami obozowych namiotów i rozsiewał piasek po całym stanowisku archeologicznym.

Grubsze ziarnko piasku ją oślepiło; uwolniła się od niego po chwili, mrugając. Piasek wdierał się wszędzie. Jej blond włosy codziennie zmieniały kolor, przyjmując szarawoczerwoną barwę izraelskiej pustyni. Miała gryzący piasek w skarpetach, tenisówkach i pod paznokciami, czuła jego smak w ustach.

Mimo to kiedy spojrzała na żółtą foliową taśmę odgradzającą wykopalisko, jej twarz rozjaśnił słaby uśmiech; cieszyła się, że mogła zanurzyć stopy w starożytnej historii. Stanowisko znajdowało się pośrodku dawnego hipodromu, na którym odbywały się wyścigi rydwanów. Tuż obok rozpościerało się od wieków Morze Śródziemne. Woda miała kolor indygo, lecz słońce nadawało jej surrealistyczny metaliczny odcień. Rzędy kamiennych siedzisk, podzielone na sektory, stanowiły liczącą dwa tysiące lat spuściznę dawno zmarłego króla, który zaprojektował Cezareę. Był nim niesławnej pamięci Herod, sprawca rzezi niewinątek.

Zarżał koń. Nie było to echo przeszłości, lecz odgłos dochodzący z prowizorycznej stajni skleconej na przeciwległym krańcu hipodromu.

Grupa miejscowych archeologów przygotowywała wyścigi konne, które miały uświetnić powitanie gości. Niebawem arena znów ożyje, jakkolwiek jedynie na kilka dni.

Doktor Erin nie mogła się tego doczekać.

Jednak zanim to nastąpi, ona i jej studenci mieli jeszcze mnóstwo pracy przed sobą.

Oparła dłonie na biodrach i patrzyła na czaszkę zamordowanego dziecka. Później wzmocni małe szkielet zaprawą i rozpocznie żmudny proces wydobywania go z ziemi. Pragnęła, aby trafił do laboratorium, w którym będzie można go zbadać. Te kości powiedzą jej więcej, niż zdoła odkryć w wykopalisku.

Uklękła obok szkieletu dziecka. Zaniepokoili ją coś, co zauważyła, spoglądając na kość udową. Było na niej widać dziwne nacięcia. Pochyliła się i mimo upału poczuła zimny dreszcz na plecach.

Czyżby to były ślady zębów?

— Pani profesor — odezwał się z teksaskim zaciąganiem Nate Highsmith i zakłócił skupienie archeolożki. Podskoczyła, uderzając łokciem o drewniane deski, stanowiące zaporę przed nieubłagany piaskiem.

— Przepraszam. — Nate, student ostatniego roku, pochylił głowę.

Rano doktor Erin stanowczo zabroniła, aby jej przeszkadzano. Nie chcąc besztać natręta, uniosła sfatygowaną manierkę i pociągnęła długi łyk letniej wody. Miała smak stali nierdzewnej.

— Nic nie szkodzi — odparła sztywno.

Ośloniła twarz dłonią i spojrzała na studenta, mrużąc oczy. Stał na skraju wykopu, jego sylwetka rysowała się na tle ostrego słońca. Miał na głowie słomkowy kapelusz Stetson, wytarte dżinsy i wyblakłą kraciastą koszulę. Podwinięte rękawy odsłaniały dobrze umięśnione ramiona.

Domyślała się, że podwinął rękawy właśnie po to, by jej zaimponować. Oczywiście jego wysiłki nie miały szans powodzenia. Od lat całkowicie skupiała się na pracy; jedyni mężczyźni, którzy ją fascynowali, od wieków spoczywali w ziemi.

Spojrzała znacząco na pierwszy lepszy skrawek piasku i kamieni. Radar ziemny leżał porzucony; wyglądał jak zapuszczona kosiarka do trawy, a nie nowoczesne narzędzie służące do wyszukiwania tego, co jest ukryte pod powierzchnią.

— Dlaczego przestałeś mapować teren?

— To właśnie robiłem, pani doktor. — Jego akcent był bardziej wyraźny, kiedy chłopak okazywał radość. Student uniósł brwi.

Na pewno coś znalazł.

— Co chcesz mi powiedzieć?

— Nie uwierzy pani. — Z niecierpliwości aż unosił się na piętach.

Uśmiechnęła się. Nate miał rację. Nie uwierzy, dopóki nie zobaczy na własne oczy. To właśnie powtarzała studentom niczym mantrę: Rzecz staje się prawdziwa dopiero wtedy, gdy wydrzecie ją ziemi i ujmiecie w dłonie.

Z szacunku dla kości zabitego dziecka, a także po to, by zapewnić ochronę stanowisku pracy, ostrożnie naciągnęła na szkielet płachtę brezentu. Nate podał jej dłoń i pomógł wyjść z głębokiego wykopu. Tak jak się spodziewała, trzymał ją za rękę o sekundę za długo.

Powstrzymała się przed grymasem i strzepnęła kurz z kolan. Nate zrobił krok w tył i odwrócił głowę; może wiedział, że posunął się za daleko. Nie zrugła go, bo i po co? Nie była ślepa na awanse mężczyzn, lecz rzadko ich zachęcała, a już na pewno nie w czasie wykopalisk. Miała na sobie piasek tak jak inne kobiety noszą makijaż i unikała romansów. Była średniego wzrostu, lecz — wiedziała to od innych — chodziła tak, jakby miała o trzydzieści centymetrów więcej. Musiała się tak zachowywać, wykonując ten zawód, zwłaszcza że była młodą kobietą.

W kraju mieszała mężczyzn, ale żaden z tych związków nie przetrwał. U większości partnerów budziła lęk, innych dziwnie pociągała.

Na przykład takich jak Nate.

Musiała przyznać, że chłopak jest dobrze rokującym geofizykiem. Straciła dla niej zainteresowanie i wszystko samo się uprosi.

— Pokaż.

Skierowała się w stronę namiotu w kolorze khaki, który służył za magazyn sprzętu. Przyjemnie będzie choć na chwilę skryć się przed palącym słońcem.

— Amy ma informacje w laptopie — mówił Nate, przemierzając wykopalisko. — Trafiliśmy na skarb, pani profesor. To był prawdziwy strzał w dziesiątkę.

Powstrzymała uśmiech i przyspieszyła, by dotrzeć do niego.

Podziwiała jego entuzjazm, jednak wiedziała, że w archeologii, podobnie jak w życiu, nie odkrywa się skarbów każdego ranka. Czasem mijają dziesiątki lat.

Schyliła się, żeby przejść pod klapą namiotu, i przytrzymała ją. Nate wszedł i zdjął kapelusz. Palące promienie słońca nie przenikały do środka i panowała tam temperatura o kilka stopni niższa.

Buczący generator zasiliał laptopa oraz wysłużony metalowy wentylator. Strumień powietrza wionął prosto na Amy, dwudziestotrzyletnią ciemnowłosą studentkę ostatniego roku z Uniwersytetu Columbia, która więcej czasu spędzała w namiocie niż poza nim. Na biurku stała puszka dietetycznej coli; lśniły na niej kropelki wody. Amy, nieco za tęga i zbyt słaba fizycznie, nie zdążyła jeszcze zahartować się do ciężkiej archeologicznej roboty w słońcu, miała jednak dryg do techniki. Stukając jedną ręką w klawiaturę, skinęła ręką na doktor Erin.

— Nie uwierzy pani własnym oczom.

— Już to słyszałam.

W namiocie znajdował się jeszcze jeden student. Był nim Heinrich, flegmatyczny dwudziestoczworoletnik z Freie Universität w Berlinie, którego trudno było oderwać od pracy. Najwyraźniej wszyscy porzucili zajęcia, aby obejrzeć znalezisko Nate'a. Stał tuż za Amy; jego obecność znaczyła, że odkrycie było dużego kalibru.

Amy nie odrywała wzroku od ekranu.

— Program wciąż przetwarza obraz, ale pomyślałam, że zechce pani od razu go zobaczyć.

Doktor Erin odpięła szmatkę przyczepioną do paska i otarła twarz z piasku i potu.

— Amy, zanim zapomnę... Ten szkielet dziecka, nad którym pracuję... Zauważyłam na nim dziwne ślady, chciałabym, żebyś zrobiła zdjęcia.

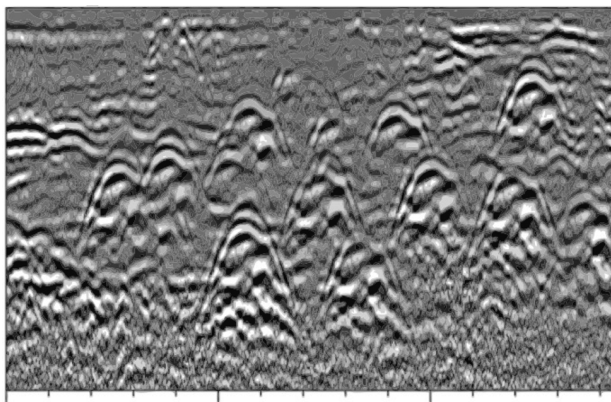
Dziewczyna skinęła głową, lecz prawdopodobnie nie usłyszała ani jednego słowa.

Nate wiercił się, miętosząc kapelusz w rękach.

Co takiego znalazł?

Archeolożka podeszła i stanęła obok Heinricha. Amy odchyliła się na składanym metalowym krzeselku, żeby szefowa lepiej widziała ekran.

Ukazał się na nim komputerowy obraz kawałka gruntu, który Nate zeskanował. Poszczególne fragmenty przedstawiały różne warstwy działki podzielonej na osiem części, które z kolei podzielono pod względem głębokości. Obraz przypominał szare kwadratowe kałuże błota zamazane czarnymi liniami układającymi się w parabole, które wyglądały jak fale marszczące wodę w sadzawce. Owe czarne linie przedstawiały twardy grunt.



Erin Granger poczuła bicie serca aż w gardle. Schyliła się nad komputerem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Kałuża błota miała zbyt wiele fal. Przez dziesięć lat pracy na wykopaliskach Erin nie zobaczyła czegoś podobnego. Nikt czegoś takiego nie widział.

To było niemożliwe.

Powiodła palcem wzdłuż zakrzywionej linii na ekranie, nie zważając na minę Amy. Dziewczyna nie znosiła, kiedy ktoś zostawiał smugi na ekranie laptopa. Jednak archeolożka musiała się przekonać, że to, co widzi, naprawdę istnieje. Musiała dotknąć.

— Nate, jakiej wielkości jest fragment gruntu, który prześwietliłeś?
— spytała z nadzieją, od której ścisnęło jej się gardło.

— Ma dziesięć metrów kwadratowych — odparł student bez wahania.

Zerknęła z ukosa na jego poważną twarz.

— Tylko dziesięć? Jesteś pewien?

— Pamięta pani, jak uczyła mnie posługiwać się skanerem? —

spytał, przechylając głowę. — Bolało.

Amy parsknęła śmiechem.

— Uwzględniłeś przyrost? — dociekała doktor Erin.

— Tak — odparł z westchnieniem. — Wszystko uwzględniłem.

Dotknęła go, podważając jego umiejętności, lecz musiała się upewnić. Miała zaufanie do sprzętu, lecz nie zawsze do ludzi, którzy go obsługują.

— Zrobiłem wszystko jak należy — dodał Nate i schylił się. — Uprzedzę następne pani pytanie. Sygnatura jest dokładnie taka sama jak szkieletu, który pani odkopała.

Dokładnie taka sama. To oznaczało, że warstwa ma dwa tysiące lat. Archeolożka spojrzała ponownie na intrygujący obraz. Jeśli dane się zgadzały — trzeba będzie to jeszcze raz sprawdzić — to każda parabola oznaczała ludzką czaszkę.

— Przeprowadziłem wstępne obliczenie — odezwał się Nate. — Jest ich ponad pięćset. Żadna nie ma w przekroju więcej niż dziesięć centymetrów.

Dziesięć centymetrów...

To nie były zwyczajne ludzkie czaszki — to były czaszki dzieci.

Setki dziecięcych czaszek.

Po cichu wyrecytowała ustęp Biblii: *Wtedy Herod, widząc, że go Mędrcy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał [oprawców] do Betlejem i całej okolicy i kazał pozabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym dowiedział się od Mędrców**.

Rzeź niewiniątek. Wiedziony strachem Herod podobno nakazał ją, by mieć całkowitą pewność, że zgładził niemowlę, które miało go zastąpić na żydowskim tronie. Zamiar się nie powiódł. Owo dziecko uciekło z rodzicami do Egiptu i wyrosło na mężczyznę, którego świat zna pod imieniem Jezus Chrystus.

Czyżby udało się odkryć dowód strasliwej zbrodni Heroda?

* Ewangelia wg św. Mateusza 2, 16.

2

26 października, 13.03
Masada, Izrael

Pot piekł Tommy'ego w oczy. Właśnie w takich chwilach najbardziej brakowało mu brwi.

Wielkie dzięki, chemioterapio, myślał.

Ponownie oparł się o głaz w kolorze wielbłądziej skóry. Wszystkie kamienie na stromym szlaku wyglądały podobnie i wszystkie były zbyt gorące, żeby dało się na nich usiąść. Podwinął kurtkę pod nogi, tworząc dodatkową warstwę ochronną między spodniami a rozgrzanym głazem. Jak zwykle to właśnie on podtrzymywał grupę na duchu. I jak zwykle był za słaby, żeby iść bez odpoczynku.

Z trudem łapał oddech. Piekące powietrze było suche i rozrzedzone. Czy miało wystarczającą zawartość tlenu? Pozostali wspinacze jakoś oddychali. Mknęli po serpentynach niczym czternastolatki, a on włożył się jak dziadziuś. Nawet nie słyszał już ich głosów.

Skalisty szlak zwany Wężową Ścieżką wił się po stromych zboczach okrytej złą sławą góry Masada. Do jej wierzchołka zostało zaledwie kilka metrów; krył ruiny starożytnej żydowskiej twierdzy. Z kamienia, na którym przycupnął Tommy, rozpościerał się widok na połać spieczonej brązowej ziemi doliny Jordanu. Otarł pot z czoła. Pochodził z hrabstwa Orange i zdawało mu się, że wie, co to skwar. Teraz jednak czuł się jak ktoś, kto wczółguje się do piekarnika.

Głowa mu opadła. Chciało mu się spać. Zapragnął poczuć na policzku chłód hotelowej pościeli i zapaść w długą drzemkę w klimatyzowanym pokoju. Później poczułby się lepiej i pograłby w gry wideo.

Naraz drgnął. To nie był czas na mrzonki. Czuł się jednak bardzo zmęczony, a na pustyni panowała głęboka cisza. W odróżnieniu od ludzi zwierzęta i owady były przezorne i za dnia znajdowały sobie kryjówki. Pochłonęła go wielka pusta cisza. Czy tak odczuwa się śmierć?

— Wszystko w porządku, kochanie? — spytała matka.

Wzdrygnął się. Dlaczego nie usłyszał, jak nadchodzi? Czyżby znów zmorzył go sen?

— Tak, tak — wydyszał.

Zagryzła wargę. Wszyscy wiedzieli, że Tommy nie czuje się dobrze. Szarpnął mankiet koszuli, aby zasłonić nową plamę czerniaka, która rozlała się na jego lewym nadgarstku.

— Możemy poczekać tyle, ile potrzebujesz. — Matka klapnęła na kamieniu obok syna. — Ciekawe, dlaczego nazywają ten szlak Wężową Ścieżką. Nie zauważyłam ani jednego węża.

Mówiąc, spoglądała na brodę syna. Rodzice rzadko teraz nawiązywali z nim kontakt wzrokowy, bo wtedy zaczynali płakać. Działo się tak od dwóch lat wypełnionych operacjami, chemioterapią i radioterapią. Teraz nastąpił nawrót choroby.

Może spojrzą na jego twarz, kiedy spocznie w trumnie.

— Tutaj jest za gorąco dla węży — odparł prawie bez tchu.

— Zamieniłyby się w rolady. — Matka pociągnęła długi łyk wody z butelki. — Dobrze upieczone w słońcu i gotowe do spożycia. Tak jak my.

Nadszedł ojciec.

— Coś się stało?

— Chciałam trochę odsapnąć — skłamała matka, aby kryć Tommy'ego. Zmoczyła chustkę i podała synowi. — Ale się zmęczyłam.

Tommy chciał sprostować, powiedzieć prawdę, ale był zbyt wyczerpany. Otarł twarz chustką.

Ojciec rozgadał się; zawsze tak reagował na zdenerwowanie.

— To już blisko. Jeszcze parę metrów i zobaczymy twierdzę. Słynną twierdzę Masada, wyobraźcie sobie.

Tommy zamknął oczy. Ujrzał basen wypełniony chłodną błękitną wodą, zalatującą chlorem.

— W namiotach zgromadziło się dziesięć tysięcy rzymskich żołnierzy. Świeci słońce, a oni czekają z mieczami i tarczami. Odcięli

wszystkie drogi ucieczki, chcą zagłodzić dziewięćset mężczyzn, kobiet i dzieci chroniących się na płaskim wierzchołku góry. — Ojciec mówił coraz szybciej. — Jednak powstańcy trzymają się mocno do samego końca. A nawet dłużej. Nie poddają się.

Tommy ściągnął kapelusz okrywający jego łysą głowę i mrużąc oczy, spojrzał na ojca.

— Przecież sami się wykończyli.

— Nie — odparł z przekonaniem ojciec. — Żydzi postanowili zginać jako wolni ludzie, a nie zdać się na łaskę Rzymian. Nie pozbawili się życia, żeby skapitulować. Sami wybrali swój los. Właśnie tego rodzaju decyzje określają, jakim jesteś człowiekiem.

Chłopiec wziął do ręki gorący kamień i rzucił go w dół. Kamień odbił się od szlaku i zniknął za krawędzią. Jak postąpiłby ojciec, gdyby on rzeczywiście postanowił wziąć los w swoje ręce? Gdyby odebrał sobie życie, zamiast trwać w niewoli nowotworu? Zapewne nie opowiadałby o tym z taką dumą.

Popatrzył na jego twarz. Ludzie często mówili, że są do siebie podobni; że mają takie same gęste czarne włosy, że często się uśmiechają. Kiedy Tommy stracił włosy po chemioterapii, przestali to powtarzać. On zaś zastanawiał się, czy kiedyś upodobni się do ojca, który teraz spytał:

— Gotowy do dalszej drogi? — I dźwignął plecak.

Matka posłała mu gniewne spojrzenie.

— Nigdzie się nam nie spieszy.

— Nie powiedziałem, że już musimy iść. Tylko zapytałem...

— Jasne. — Tommy wstał; nie chciał, by rodzice się pokłócili.

Spoglądając pod nogi, ruszył przed siebie. Krok za krokiem, stopa za stopą. Niebawem znajdzie się na szczycie, rodzice spędzą z nim upragnione chwile w twierdzy. Z tego właśnie powodu przystał na propozycję wyprawy: chciał dać im coś, co warte jest zapamiętania. Nie chcieli się do tego przyznawać, ale takich chwil z synem nie pozostało im już wiele. Pragnął, aby te wspomnienia były jak najlepsze.

Liczył kroki. Właśnie tak pokonuje się przeciwności. Trzeba liczyć. Mówiąc „raz”, wiesz, że nastąpi „dwa”, a potem „trzy”. Doliczył do dwudziestu ośmiu i wtedy ścieżka przestała się wznosić.

Dotarł na szczyt. Miał wrażenie, że jego płuca to dwie płonące papierowe torebki, ale cieszył się, że doszedł.

Stał tam drewniany pawilon, choć było to zbyt szumne określenie na cztery cienkie pnie drzew, na których spoczywało parę podobnych. Rzucały nierównomierny cień, lecz jako tako chroniły przed palącym słońcem.

Za krawędzią skały rozpościerała się pustynia. Sucha i rozpaczliwie pusta, lecz na swój sposób piękna. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się spieczone piaskowe wydmy. Pędzone wiatrem ziarnka piasku smagały kamienną ścianę, krusząc ją od tysięcy lat.

Ani ludzi, ani zwierząt. Czy właśnie to widzieli obrońcy przed nadejściem Rzymian?

Zabójcze pustkowia.

Tommy odwrócił się i spojrzał na ścięty wierzchołek góry, na którym przed dwoma tysiącami lat przelano krew. Miał długość około pięciu boisk piłkarskich i szerokość około trzech, stało na nim kilka kamiennych budowli popadających w ruinę.

Po co właściwie się tutaj wdrapałem?

Matka także nie wyglądała na osobę, której zaimponowało to, co ujrzała. Odgarnęła pukiel kręconych brązowych włosów; jej twarz zaróżowiła się od słonecznej spiekoty lub z wysiłku.

— Bardziej przypomina więzienie niż twierdzę.

— Bo to było więzienie — przytaknął ojciec. — Wiezienie dla skazańców. Nikt nie wyszedł stąd żywy.

— Nikt nigdy nie wychodzi żywy — rzucił Tommy i od razu pożałował tych słów. Matka odwróciła głowę i wsunęła palec pod okulary przeciwsłoneczne. Otarła łzę. Mimo to ucieszył się, że poczuła coś prawdziwego, zamiast bez przerwy wypierać rzeczywistość.

Przewodniczka podeszła szybkim krokiem, ratując sytuację. Spod jej ciasnych spodenek khaki wyglądały gołe nogi; miała długie czarne włosy i ani trochę nie było po niej widać zmęczenia długą wspinaczką.

— Bardzo się cieszę, że dali państwo radę! — oznajmiła z seksownym izraelskim akcentem.

Tommy uśmiechnął się do niej, zadowolony, że odrywa jego myśli od smutnych spraw.

— Nazwa Masada pochodzi od słowa *metzuda*, które oznacza twierdzę. Sami państwo widzą, skąd się wzięła. — Okrężnym ruchem ręki wskazała płaskowyż. — Mur chroniący twierdzę w rzeczywistości składa się z dwóch murów, jeden znajduje się wewnątrz drugiego.

Pomiędzy nimi mieściły się kwatery mieszkańców. Przed nami wznosi się Pałac Zachodni, największa budowla Masady.

Tommy oderwał wzrok od ust przewodniczki i spojrzał w kierunku, który wskazywała. Potężna budowla w niczym nie przypominała pałacu, była ruiną. W prastarych kamiennych murach ziały wielkie wyrwy, w których pięły się nowoczesne rusztowania. Wyglądały tak, jakby ktoś stawiał w tym miejscu dekoracje do następnej części *Indiany Jonesa*.

Za rusztowaniem kryła się niezwykła historia, lecz Tommy jej nie czuł, mimo że tego pragnął. Historia dużo znaczyła dla ojca i powinna być ważna również dla niego, ale od kiedy zapadł na raka, czuł, że istnieje poza czasem i historią. Nie znajdował w głowie miejsca dla tragedii innych ludzi, zwłaszcza dla tych, którzy nie żyli od dwóch tysięcy lat.

— Prawdopodobnie w sąsiednim gmachu mieściła się prywatna łaźnia — ciągnęła przewodniczka, wskazując ręką. — Znaleziono w nim trzy szkielety, czaszki były oddzielone od reszty ciał.

Tommy uniósł głowę. Nareszcie coś ciekawego.

— Głowy zostały odcięte? — spytał, podchodząc. — Ci ludzie popełnili samobójstwo, ścinając sobie głowy?

Usta przewodniczki ułożyły się w uśmiech.

— Żołnierze ciągnęli losy, by wyznaczyć tego, który zabije pozostałych. Tylko ostatni z nich musiał popełnić samobójstwo.

Tommy się skrzywił. A więc zabili własne dzieci, kiedy zrobiło się naprawdę gorąco. Poczuł ukłucie zazdrości. Lepiej zginąć szybko z rąk kogoś, kto cię kocha, niż gnić powoli za sprawą nieubłaganego nowotworu. Zawstydził się tej myśli i spojrzał na rodziców. Matka posłała mu uśmiech, wachlując się przewodnikiem, a ojciec pstryknął mu zdjęcie.

Nigdy by ich o to nie poprosił.

Zrezygnowany, skierował uwagę na łaźnię.

— Czy te szkielety wciąż tam są...? — Podeszedł bliżej, aby zajrzeć przez metalową bramę.

Przewodniczka zagroziła mu drogę swoją bujną piersią.

— Przykro mi, młodzieńcze. Nikomu nie wolno tam wchodzić.

Usilnie starał się nie gapić na jej biust, ale bezskutecznie.

Zanim zdołał ruszyć się z miejsca, odezwała się matka:

— Jak się czujesz, Tommy?

Czy zauważyła, że pożera przewodniczkę wzrokiem? Zarumienił się.

— Doskonale.

— Chcesz się napić? Mam wodę. — Podała mu plastikową butelkę.

— Nie, mamo.

— Posmaruję ci twarz kremem ochronnym — oznajmiła, sięgając do torebki. W normalnych okolicznościach ścierpiałby to poniżenie, lecz przewodniczka obdarzyła go promiennym uśmiechem i nagle odechciało mu się poddawać maminym zabiegom.

— Nie trzeba! — rzucił przesadnie twardym tonem.

Matka się wzdrygnęła. Przewodniczka odeszła.

— Przepraszam — powiedział. — Nie chciałem cię urazić.

— Nic się nie stało. Będę tam z tatą. Porozglądaj się tutaj.

Czuł się okropnie, patrząc, jak matka odchodzi.

Ruszył ku budynkowi łaźni zły na siebie. Oparł się o metalową bramę, żeby zerknąć do środka. Zazgrzytała i ugięła się pod jego ciężarem. Omal się nie przewrócił. Cofnął się szybko, lecz zanim to zrobił, coś w rogu pomieszczenia przykuło jego uwagę.

Zauważył delikatne trzepotanie, jakby białe skrawek papieru zawirowało w powietrzu.

Ogarnęła go ciekawość. Rozejrzał się. Nikt nie patrzył, a poza tym czy spotka go jakaś kara za to, że bez pozwolenia przekroczył bramę? Co strasznego może się wydarzyć? Uroczą przewodniczką wywlecze go na zewnątrz?

Nie miałby nic przeciwko temu.

Wsunął głowę do środka, spoglądając w miejsce, gdzie dostrzegł ruch.

Na pokrytej mozaiką posadzce trzepotał się mały biały gołąb, powłócząc lewym skrzydłem po terakocie. Koniuszkami piór kreślił jakieś tajemnicze znaki w kurzu.

Biedactwo...

Trzeba go stamtąd wydostać, bo zginie z pragnienia albo padnie ofiarą drapieżnika. Przewodniczka na pewno zna adres kliniki dla zwierząt. Matka Tommy'ego pracowała w takiej placówce w Kalifornii jako ochotniczka, zanim nowotwór syna zrujnował życie rodziny.

Wśliznął się przez nieomkniętą bramę. Odniośł wrażenie, że w środku jest ciasniej niż w szopie, w której ojciec trzymał narzędzia.

Ściany były gładkie, a podłogę pokrywała wyblakła, zakurzona mozaikowa terakota z niewyobrażalnie drobnych płytek. Widniało na niej osiem czerwonych serc tworzących kwiat; rząd ciemnoniebieskich i białych płytek układał się w fale. Zewnętrzne obramowanie z białych trójkątów przypominało zęby. Wyobraził sobie starożytnych rzemieślników, którzy tworzyli te obrazy, lecz ta myśl go zmęczyła.

Przekroczył ocieniony próg, zadowolony, że ucieka przed bezlitosnym słońcem. Ilu ludzi tutaj zginęło? Kiedy wyobraził sobie tę scenę, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Oczami wyobraźni ujrzał ich klęczących; był pewien, że klęczeli. Mężczyzna w zabrudzonej płóciennej tunice stał z uniesionym mieczem. Zaczął od najmłodszego dziecka, a gdy skończył, ledwo starczyło mu sił, by unieść ręce. Zdołał to jednak uczynić. W końcu on także opadł na kolana i czekał na szybką śmierć z rąk przyjaciela. To był koniec. Krew spłynęła po drobnych płytkach, przykryła fugi i osiadła kałużą na posadzce.

Tommy pokręcił głową, jakby chciał uwolnić oczy od zwidu. Rozejrzał się.

Nie było ani jednego szkieletu.

Prawdopodobnie przeniesiono je do muzeum albo pochowano.

Ptak uniósł łebek, przerywając wędrówkę po posadzce. Najpierw jednym okiem, a potem dwoma spojrzał na chłopaka. Oczy gołębia miały barwę jasnozielonego malachitu. Tommy nigdy jeszcze nie widział ptaka o zielonych oczach.

Uklęknął i odezwał się ledwo słyszalnym szeptem:

— Chodź do mnie, maleńki. Nie bój się.

Gołąb znów spojrzał na chłopca jednym okiem, a potem skoczył lekko w jego stronę.

Tommy wyciągnął rękę i ujął w dłoń rannego ptaka. Kiedy się prostował, trzymając ciepłe stworzenie w dłoniach, ziemia pod jego stopami się poruszyła. Usiłował zachować równowagę. Czyżby zakręciło mu się w głowie po długiej wspinaczce? Zobaczył wąską czarną linię na mozaice, która sunęła niczym żywe stworzenie.

Wąż, pomyślał w pierwszym odruchu.

Jego serce zabiło trwożnie.

Jednak linia się rozszerzyła. To nie był wąż, lecz coś gorszego:

szczelina. Z jej końca uniosła się smużka ciemnopomarańczowego oparu, wąska jak nitka dymu z rzuconego na ziemię niedopałka.

Gołąb nagle wyrwał się z rąk chłopca, rozłożył skrzydła i przeleciał przez dym. A potem zniknął za bramą. Nie mógł być ciężko ranny. Dym przesunął się ku Tommy'emu, poruszony skrzydłami ptaka. Miał zaskakująco słodką woń zaprawioną mocniejszym aromatem; pachniał prawie jak kadzidło.

Tommy zmarszczył czoło i się pochylił. Wysunął dłoń i rozłożył ją nad dymem. Szare smugi przepływały między palcami, lecz były zimne, a nie ciepłe, jakby wydobywały się z chłodnego miejsca w głębi ziemi.

Schylił się, żeby lepiej im się przyjrzeć. Mozaika zachrząściła pod jego nogami niczym szkło. Odskoczył. Płytki zaczęły zsuwać się do szczeliny. Granatowe, brązowe, czerwone. Poszerzająca się rozpadlina pożerała wzór.

Chłopiec ruszył w stronę wejścia. Przez pękającą mozaikę wzbijały się kłęby dymu, który przybrał teraz czerwopomarańczowy kolor.

Z głębi góry dobiegło głucho stęknienie, pomieszczenie zadrżało. Trzęsienie ziemi.

Tommy wyskoczył z łaźni i wylądował na plecach. Budynek zatrzęsł się gwałtownie po raz ostatni, jakby przyjął cios rozgniewanego boga, a potem osunął się w przepaść, która się pod nim otworzyła.

Krawędzie się kruszyły, jedna znajdowała się zaledwie metr od Tommy'ego. Chłopak rzucił się do ucieczki. Rozpadlina go ścigała. Zdołał zmusić stopy do biegu, lecz góra zadrżała i rzuciła go na ziemię.

Odczołgiwał się na czworakach. Kamienie raniły mu dłonie. Budowle i kolumny waliły się z łoskotem na skałę.

Boże, ratuj mnie!

Wszystko okrywał kurz i dym, widoczność sięgała kilku metrów. Czołgając się, Tommy zobaczył mężczyznę, który zniknął pod walącym się murem. Dwie kobiety z krzykiem osunęły się w głąb rozpadliny.

— Tommy!

Odczołgał się w stronę, z której dobiegał głos matki. Wreszcie przedarł się przez słupy dymu.

— Tu jestem! — wykrztusił.

Ojciec podbiegł i dzwignął go na równe nogi. Matka złapała go za łokieć. Poprowadzili syna w stronę Wężowego Szlaku, byle dalej od

katakлизму.

Tommy odwrócił głowę. Szczelina wciąż się rozszerzała, przedzielając szczyt góry na dwoje. Skalne bryły odrywały się od niej i staczały ku pustyni. Ciemny dym buchał kłębami ku błękitnemu aż do bólu niebu, jakby zanosił straszną wieść rozpalonemu słońcu.

Cała trójka dotarła do krawędzi skały.

Jednak trzęsienie ziemi zakończyło się równie nagle, jak się zaczęło.

Rodzice zamarli, jakby się obawiali, że kataklizm wróci. Ojciec objął żonę i syna. Powietrze rozdarły okrzyki pełne bólu.

— Tommy — powiedziała drżącym głosem matka. — Ty krwawisz.

— Obtarłem sobie ręce — odrzekł. — To drobiazg.

Ojciec wypuścił ich z objęć. Zgubił kapelusz i rozciął sobie policzek. Jego głęboki głos zabrzmiał zbyt wysoko.

— To była chyba robota terrorystów.

— Nie słyszałam wybuchu bomby — odparła matka, głaszcząc syna po włosach, jakby był małym chłopcem.

O dziwo, nie zaprotestował.

Tuman czarnoczerwonego dymu sunął w ich stronę, jak gdyby chciał wypędzić przybyszów z wierzchołka góry.

Ojciec dostrzegł zagrożenie i wskazał w kierunku stromeego szlaku.

— Chodźmy stąd, te opary mogą być trujące.

— Oddychałem nimi — zapewnił go Tommy, nie ruszając się z miejsca. — Nic mi nie jest.

Jakaś kobieta wydostała się z kłębow dymu, trzymając się za gardło. Biegła na ślepo, jej poranione powieki krwawiły. Zrobiła kilka kroków, a potem upadła na ziemię i znieruchomiała.

— Uciekamy! — krzyknął ojciec, pchając Tommy'ego. — No już!

Pobiegli, lecz nie zdążyli uchronić się przed oparem.

Obłok ich ogarnął. Matka kasłała nienaturalnie, chrapliwie. Tommy wyciągnął do niej rękę.

Rodzice stanęli i opadli na kolana.

Wyścig dobiegł końca.

— Tommy... — wycharczał ojciec. — Idź...

Chłopak nie posłuchał i uklęknął obok rodziców.

I tak umrę, lepiej zginąć na swoich warunkach.

W otoczeniu rodziny.

Poczucie, że zbliża się koniec, ukoilo go.

— Wszystko w porządku, tato. — Uściśnął rękę matki, a potem ojca. Po jego policzkach spłynęły łzy, choć zdawało mu się, że już wszystkie wypłakał. — Bardzo was kocham.

Rodzice patrzyli mu prosto w oczy. Mimo że chwila była straszna, Tommy poczuł ogarniające go ciepło.

Objął mocno rodziców i trzymał nawet wtedy, gdy ich ciała zwiotczały. Nie chciał oddać ich grawitacji, mimo że śmierć dokonała już swego dzieła. Gdy zabrakło mu sił, uklęknął obok nich i czekał na ostatnie tchnienie.

Mijały minuty, a ono nie przychodziło.

Otarł ręką zapłakaną twarz i podniósł się na równe nogi. Nie chciał patrzeć na zwinięte ciała rodziców, na ich napuchnięte brwi i skrwawione twarze. Może jeśli nie spojrzy, śmierć nie zabierze ich naprawdę. Może to tylko sen.

Odwrócił się powoli. Tuman żrącego dymu odpłynął. Na skale ścieliły się ludzkie ciała. Jak okiem sięgnąć, wszystko zastygło w martwocie.

To nie był sen.

Dlaczego tylko ja jeden przeżyłem? Przecież to ja miałem umrzeć, a nie mama i tata.

Spojrzał jeszcze raz na zwłoki. Jego żal sięgał głębiej niż miejsce, z którego przychodzi płacz. I głębiej niż ten, który towarzyszył myśli o własnej śmierci.

To nie tak powinno być. To on był chory, dotknięty skazą. Od dawna wiedział, że zbliża się koniec. Rodzice mieli zachować wspomnienia o nim i tysiące zdjęć, na których uwiecznili czternastoletniego syna. To na nich miała spać żałoba.

Osunął się na kolana i zaszlochał, wyciągając ręce ku słońcu. Wyprostowane palce wyrażały zarazem błaganie do Boga i rzucały na niego przekleństwo.

Jednak Bóg jeszcze z nim nie skończył.

Rękaw koszuli opadł, obnażając nadgarstek. Nic na nim nie było.

Tommy opuścił ręce i z niedowierzaniem spojrzał na skórę.

Czerniak znikł.